

Mniej znaczy więcej

AUTOR: ŁUKASZ RUDZIŃSKI

Twórcom spektaklu *Mała Piętnastka – legendy pomorskie* w Nowym Teatrze w Słupsku udaje się wywołać wrażenie nadciągającej katastrofy, a z garści suchych faktów wydobyć wciągającą, emocjonującą opowieść.

■ Czy można było tego uniknąć? Pewnie tak, jak w zdecydowanej większości podobnych wypadków. Tragedia na jeziorze Gardno z 1948 roku zdarzyła się w wyniku szeregu fatalnych koincydencji. Wystarczyłoby, żeby nauczycielka i opiekunka drużyny harcerzek nie wpadła na pomysł, by uatrakcyjnić pobyt podopiecznym z 15. Łódzkiej Żeńskiej Drużyny Harcerzek im. „Zośki” i nie chciała zabrać ich nad morze. Obóz w pobliskiej Gardnie Wielkiej ulokowany był kilka kilometrów od Bałtyku, nad którym większość dziewcząt nigdy wcześniej nie była. Najkrótsza droga prowadziła przez jezioro Gardno. Tragedia nie wydarzyłaby się, gdyby antykomunistyczny partyzant, mechanik ukrywający się pod pseudonimami Józef Markiewicz Kowal, nie połakomił się na pieniądze za transport harcerzek. Jednak zarobek „za fatywę” wydawał się łatwy, a brak odpowiednich łodzi nie zniechęcał. Do katastrofy by nie doszło, gdyby przewoźnik Waclaw R. nie zgodził się wziąć udziału w tej wątpliwej operacji i nie użyczył swoich niesprawnych łodzi, a po pośpiesznej naprawie nie rozlokował na przeładowanych jednostkach zbyt wielu dziewcząt. Doprowadziło to do przeciekania większej łodzi i w konsekwencji wywrócenia obu. Wreszcie, zarządca jeziora Waclaw T. mógł nie odsyłać opiekunki harcerzek do przewoźnika i mechanika. Nie mieli oni koncesji na przewóz osób łodziami. Ponadto tragedii można było zapobiec, gdyby drużyna harcerzek zwana Małą Piętnastką zrezygnowała z rejsu, który miał się odbyć o dziesiątej rano, a przez opóźniające wycieczkę prace renowacyjne zaczął się sześć godzin później. Inna drużyna, która również tego dnia miała płynąć nad morze, w obliczu problemów logistycznych i przedłużającego się oczekiwania zrezygnowała z rejsu. Mała

Piętnastka nie. Rozmiar tragedii z pewnością byłby mniejszy, gdyby harcerki umiały pływać (potrafiły tylko nieliczne), a rybacy, wylawiający dziewczęta zaraz po katastrofie, mieli pojęcie, jak udzielić im pierwszej pomocy.

Twórców spektaklu Nowego Teatru im. Witkacego, z oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca katastrofy Słupska, interesuje jednak nie tylko wierna rekonstrukcja zdarzeń, ale też poddanie ich pod sprawiedliwy, obiektywny osąd. Togi sędziowskie mają na sobie grający w spektaklu „na żywo” muzycy: kontrabasista Maciej Młóciński i pianista Cezary Reinert, mundury harcerzek nosi trójka aktorek. Wraz z siedzącym na uboczu Mechanikiem relacjonują one przebieg zdarzeń. Ławnikami w sprawie są zaś widzowie, przed którymi zeznają bohaterowie spektaklu. Pomysł reżysera *Małej Piętnastki – legend pomorskich* Tomasza Mana zasada się więc na nienachalnym współuczestnictwie aktorów i publiczności. Ci pierwsi przez półtorej godziny przybliżają widzom kontekst zdarzeń – pewnie znany w zarysie niemal każdemu, zanim wszedł do teatru. W końcu katastrofa na jeziorze Gardno pochłonęła dwadzieścia pięć ludzkich istnień, co do dzisiaj jest największą tragedią na polskich wodach śródlądowych i największą katastrofą w historii polskiego harcerstwa. Przez czterdzieści pięć lat (do czasu zatonięcia promu MF Jan Heweliusz) była też największą w powojennej Polsce katastrofą wodną. Do widzów należy decyzja, kto i jak bardzo w tej sytuacji zawinił.

Listę „oskarżonych” otwiera Mechanik. W roli szorstkiego w obyciu, chytrego, antypatycznego mężczyzny o surowej powierzchowności świetnie odnajduje się Mariusz Bonaszewski. Skryty pod czapką, w rozpiętej

pod szyją koszuli, z nierówno podwiniętymi mankietami wystającymi spod marynarki, siedzi w półmroku i nerwowo ćmi papierosa. Gdy opowiada o zdarzeniach z feralnego 18 lipca i poprzedzających rejs przygotowaniach, podchodzi do mównicy, ale trudno przesądzać, czy zeznaje w roli oskarżonego, czy świadka. Bonaszewski nie wybiela swojego bohatera, za to cierpliwie tłumaczy jego punkt widzenia. Partyzancka przeszłość może (choć nie musi) być uznana za okoliczność łagodzącą wobec jego chronicznej podejrzliwości i pogoni za pieniędzmi, by zrealizować plan wywiezienia rodziny za granicę. Za nikczemne postępowanie i tak doczekał się surowej kary – utonęła jego ciężarna żona.

Mniej oczywistą oskarżoną jest Eugenia Leszewska, nauczycielka języka polskiego, która wpadła na pomysł, by zabrać dzieci nad morze. To ona, jak sugeruje scenariusz Tomasza Mana, udała się w sprawie transportu nad morze do zarządcy jeziora. Ten skierował ją do przewoźnika i mechanika. Grająca bohaterkę Bożena Borek kreuje tę postać na dobrą ciocię, kobietę niewylewną, za to konkretną i zdecydowaną, która nie odpuszcza i nie rezygnuje w obliczu rozmaitych trudności. To, niestety, w przypadku *Małej Piętnastki* doprowadziło do tragedii. Sama Leszewska nie przeżyła katastrofy, utonęła, usiłując uratować uwięzione w kabinie motorówki bratanice. Towarzyszą jej na scenie dwie harcerki o odmiennej postawie w obliczu katastrofy. Trzynastoletnia zastępowa Joanna Skwarczyńska (w tej roli Anna Grochowska) jest emanacją dobra – to skromna, rozmodlona, wszechstronnie utalentowana dziewczyna, z rozbudowanym poczuciem odpowiedzialności. Podczas katastrofy harcerka poświęciła życie, ratując koleżanki.

NOWY TEATR
IM. WITKACEGO
W SŁUPSKU

*Mała Piętnastka –
legendy pomorskie*
Tomasza Mana

reżyseria, muzyka
Tomasz Man
scenografia
Anetta Piekarska-Man
wizualizacje
Zuzanna Piekarska
opieka wokalna
Agata Walczak
aranżacja utworów
muzycznych
Cezary Reinert
zespół muzyczny
na żywo
Maciej Młóciński
(kontrabas),
Cezary Reinert
(fortepian)

premiera
17 grudnia 2022

Scena zbiorowa



fol. Magdalena Tramer / Nowy Teatr w Słupsku

Z kolei przejawiająca bardziej przyziemne zainteresowania (chłopaki, używki) piętnastoletnia Zofia Erdman, należąca do juniorskiej sekcji pływackiej – pewna swoich możliwości od razu popłynęła w stronę lądu, by za wszelką cenę uratować siebie. Trudno winić ją za ten odruch, ale relacja bohaterki granej przez Katarzynę Pałkę zawiera nutę skruchy i samoobwiniania za rozmiar katastrofy.

Scenografka Anetta Piekarska-Man stworzyła na scenie salę rozpraw. Teczki z aktami sprawy widzimy na biurku sędziowskim, przy którym podczas zwieńczeń Mechanika zasiadają harcerki, a może ich duchy – zbiorowy wyrzut sumienia mężczyzny. Gdy aktorki opowiadają o ostatnich godzinach przed tragedią i zdarzeniach z feralnego rejsu, biurko przestaje pełnić rolę sędziowskiego mebla, a postawa każdej z aktorek staje się dużo mniej formalna. Akta sprawy dostrzec można również na kilkumetrowym ekranie, gdzie wyświetlane są proste wizualizacje przygotowane przez Zuzannę Piekarską. W teczki z aktami wsunięte są też nuty muzyków.

Oprócz akompaniamentu towarzyszącego relacji bohaterów, brzmią ze sceny znane biesiadne i harcerskie piosenki w aranżacjach Cezarego Reinerta. Stają się one symbolicznym komentarzem do zdarzeń. I tak na początku słychać wesoło śpiewane przez harcerki *Lato,*

lato, lato czeka. Podczas wieczornego, poprzedzającego rejs ogniska wybrzmiewa podniosłe *Płonie ognisko i szumią knieje,* z kolei w trakcie przedłużającego się oczekiwania na wypłynięcie śpiewana jest piosenka *Czerwona róża, biały kwiat. Modlitwa harcerska* rozpoczynająca się od słów „O Panie Boże, Ojczy nasz...” urasta do rangi songu umierającej Joanny Skwarczyńskiej (najlepiej śpiewająca Anna Grochowska), a po tragedii przejmująco zabrzmiały *Przyjdzie rozstań czas.* Pogodne brzmienie utworów często zaburzone zostaje nieoczekiwaną zmianą nastroju, przerwana frazą, znaczącą pauzą, budzącym niepokój drapieżnym powtórzeniem czy krzykiem. Urywane dźwięki i złowrogo brzmiące dysonanse, którym towarzyszą pojedyncze słowa lub sylaby, potęgują groźbę sytuacji zwłaszcza w kulminacyjnym momencie opowieści.

Chociaż w *Małej Piętnastce* nie doczekamy się żadnej zaskakującej wolty, a w relacjonowaniu zdarzeń aż do epilogu króluje minimalizm formy, to spektakl poprzez konsekwentnie budowaną dramaturgię ogląda się na jednym wdechu. Tutaj mniej znaczy więcej. Twórcom udaje się wywołać wrażenie nadciągającej katastrofy, a z garści suchych faktów wydobyć wciągającą, emocjonującą opowieść (większość relacji ubrana jest w formę monologów). Pewnie radiowe i muzyczne doświadczenie

Tomasza Mana powoduje, że spektakl ma bogatą audiosferę. Aktorzy funkcjonują na scenie niczym orkiestra, dobrze niuansują stany emocjonalne i sprawnie budują napięcie. Sięgają przy tym po oszczędne w wyrazie środki, w których grymas twarzy, nerwowe ściągnięcie czapki czy odpowiednia intonacja piosenki robią większe wrażenie niż skrawki dynamizujących akcję rozmów. Spektakl zaskakuje prostotą – dzięki koncentracji na kilku bohaterach tragedia staje się boleśnie aktualna i bliska, jakby wydarzyła się nie kilkadziesiąt lat temu, a wczoraj. Reżyser rekonstruuje zdarzenia, zasłania się wprawdzie zwrotem „legendy pomorskie”, sugerując fantastyczne czy nierzeczywiste wątki tej historii, której obiektywnej wersji nigdy nie poznamy. To wyrafinowany wybieg twórcy, bo czy wydawanie wyroku wobec legendy o tragedii jest zasadne? Pewnie nie. Tak naprawdę zapadł on dawno temu. Niektórzy za swoje przewinienia i zaniedbania zapłacili pobyt w więzieniu, innych spotkała śmierć w wodnej pułapce, a jeszcze inni przez lata żyli z cieniem katastrofy na jeziorze Gardno. Nowy Teatr im. Witkacego potwierdza tą premierą dobrą kondycję artystyczną, popartą wcześniejszymi spektaklami – *Poskromieniem złościcy* i *Grupą krwi*. Za chwilę musical wystawia tu Wojciech Kościelniak. Słupska scena jest na fali. ■